

„1983” – super-komuna i kac wolności

16 grudnia 2018

Komunizm, totalitaryzm, autorytaryzm? Może po prostu wyparta przemoc kapitalizmu? Głośny serial Agnieszki Holland może i jest warsztatowo nieudany, ale obfituje w odważne przewartościowania. Częściowo prawdopodobnie wbrew intencjom samych autorów.

Najnowsza produkcja telewizyjna firmowana nazwiskiem Agnieszki Holland nie cierpi od nadmiaru pochlebstw. Niepotrzebnie unosi się reżyserka w social mediach i broni się, powołując się na „same pozytywne recenzje na Zachodzie”, jakie rzekomo dostał jej serial. Jedyną tego rodzaju ocenę „1983” wydało bodajże NBC. Widzowie są rozczarowani i mają prawo być, bo i tu wystąpił dyżurny problem nękający polskie produkcje telewizyjne: pomysł był dobry, ale wyszło jak zwykle. Największą krzywdę wyrządził sobie samemu chyba Robert Więckiewicz, który w prawie równoległym emitownym „Ślepnąć od świateł” popisał się rolą wręcz brawurową. Tu z kolei wcielił się w postać, którą z równym powodzeniem mógłby odtwarzać sam scenarzysta – za karę, że wymyślił kogoś tak bezbarwnego.

Gatunek political fiction prosi się o epicki rozmach – dostajemy zestaw makiet. Temat wymaga galerii niebanalnych, frapujących i nieoczywistych postaci – dostajemy usztywnione kukiełki i dialogi, od których zęby bołą. Konwencja noir, którą autorzy najwidoczniej chcieli się posłużyć, nie może się obyć bez charakterów odznaczających się minimalną złożonością, nie zaś psychologią bota. Na całościowe wrażenie niekorzystnie rzutuje ogólne realizacyjne ubóstwo. To akurat stała i systemowa bolączka rodzimych seriali, chociaż w przypadku „pierwszej polskiej produkcji Netfliksa” tym bardziej chce się z tej racji wyć.

Jedynym powodem, dla którego warto obejrzeć "1983" jest jego wymowa polityczna, zwłaszcza że nawiązuje zarówno do przeszłości Polski, jak i jej teraźniejszości, a daleka jest od jednoznaczności. Sama intryga fabularna do wyrafinowanych nie należy, opiera się zresztą na tematyce czerpiącej z realiów latynoamerykańskich dyktatur, która została już kinematograficznie wyeksploatowana. Istota istota serialu "1983" sprowadza się do dwóch spraw. Po pierwsze, jest to zabawa motywami utrwalonej dotychczas narracji o okresie PRL i wyniesienie jej na rzeczywiście nowy poziom – za co niewątpliwie należy się autorom uznanie. Po drugie – o czym z góry było wiadomo – otrzymaliśmy komentarz do obecnej sytuacji politycznej w Polsce.

Obóz "obrońców konstytucji", do którego należy reżyserka, tyle razy wyklinał PiS jako nową "komunę", że świadomy widz nie jest raczej w stanie abstrahować od tego kontekstu. Jest to na tyle oczywisty aspekt całej opowieści, że podkreślony został w każdej anglojęzycznej recenzji. To jednak nie wszystko, co mieści w sobie "pierwsza polska produkcja Netflix". Jak każda dystopia, tak i "1983" jest rozliczeniem ze współczesnością. Również i tym razem okazuje się, że krytyka społeczna wykracza poza ograniczony obszar, który w który celują autorzy, a z pewnością sama Agnieszka Holland. Gwoli uczciwości warto pamiętać, że scenarzystów jest w tym przypadku trzech, a reżyserów czworo.

Pomysł jest prosty, choć w kraju, gdzie dominuje skrajnie antykomunistyczna narracja, wydaje się obrazoburczy. Nic dziwnego, że zrodził się w głowie młodego zagranicznego scenarzysty, nieusztynionego polskim gorsetem ideologicznym. W alternatywnej wersji historii najnowszej Polska Ludowa nie upada więc w 1989 r. Również ZSRR i "żelazna kurtyna" kurtyna trwają w najlepsze. W tytułowym 1983 r. doszło bowiem do spektakularnych zamachów bombowych, które nadwiślańskim ludem wstrząsnęły i scementowały go. Doprowadziły ostatecznie nie tylko do spokoju społecznego i powszechnej nieufności wobec

jakiegokolwiek działalności wywrotowej, lecz i do zaskakującego prosperity.

To chyba zdecydowanie najbardziej frapująca strona przedstawionego świata. Akcja toczy się dwadzieścia lat po zamachach, a sukces "komuny" robi wrażenie. Publiczność przyzwyczajona do opowieści o siermiężnej PRL jako kolonii posępnych bunkrów, z niedowierzaniem musi patrzeć na wizję Warszawy, której centrum w 2003 r. to istny Manhattan. Trudno dać wiarę, by ktokolwiek piętnaście lat temu wyobrażał sobie smartfony. Tymczasem serialowa Polska Republika Ludowa (sic!, "republika") okazuje się światowym liderem technologii cyfrowych i wszystkich obywateli młodego pokolenia wyposaża w Traskę – gadżet komunikacyjny z ekranem dotykowym. Oko widza nieustannie kuszą poza tym eleganckie i sterylne, przeniknięte duchem skandynawskiego minimalizmu wnętrza biurowe i mieszkalne – choć fakt faktem, że znaczna część akcji rozgrywa się wśród wyższych sfer i państwowych elit, których społeczna odrębność jest wyraźnie podkreślona. Na tle pejzażu niekwestionowanego triumfu technologicznego bawi motyw "motoryzacyjny", bo po nowej-starej Polsce jeżdżą prawie wyłącznie pojazdy żywcem wyjęte z lat 80., a natknąć się można i na smakowitą czarną Wołgę.

Summa summarum, od strony materialnej źle z pewnością nie jest, a "komunistyczna" Polska z 2003 r. przedstawia się z pewnością milej niż jej rzeczywisty, kapitalistyczny odpowiednik z tego okresu. Nic dziwnego, że do buntu prawie nikt się nie rwie, a walczyć z "komuną" chce zaledwie garstka młodych, wyobcowanych ze społeczeństwa fanatyków, kierowanych bliżej nieokreśloną ideologią "wolności" z akcentami nacjonalistycznymi. Cała pompatyczna retoryka narodowa zostaje zresztą skutecznie zawłaszczona przez "władzę ludową", która okazuje się żyć w doskonałej symbiozie w Kościele, co w połączeniu z działającą jak w zegarku biurokracją pozwala jej roztoczyć nad społeczeństwem kontrolę absolutną.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że ta mroczna fantazja jest

podejrzeniem z rozmysłem skierowanym pod adresem dzisiejszego obozu rządzącego. Nacjonalizm plus Kościół plus państwo policyjne – wypisz wymaluj: PiS. Zagraniczni recenzenci doskonale to zrozumieli, a niektórzy z nich, czując, że krytyka autorytaryzmu pozostaje zbyt powściągliwa, dopraszali się nawet o więcej narodowego obłędu i ksenofobii. Sedno sukcesu władzy w “1983” tkwi jednak gdzie indziej: ludzie sprzedali wolność za wygodę i święty spokój. To główny powód osamotnienia filmowych “wyklętych”, lecz i fundamentalna obawa dzisiejszych “obrońców demokracji” załamanych popularnością 500+.

Przez wielu z nich symboliczne zwycięstwo “komuny” zostanie odczytane zgodnie z ich percepcją Polski PiS: ot, ludzie mali duchem, nie czujący zewu wolności wybrali pełną michę. Liberalni widzowie, którzy zapewne dominują wśród klienteli Netflix, oglądając “1983” z pewnością urosną z dumy delektując się własną “wyższą” aksjologią, obcą potulnym masom pisowskim, skażonych płytkim materializmem. Oni wszak przenigdy nie zaprzędali się błyskotkom i mamonie – pracują dla samorealizacji. Kredyt hipoteczny to dojrzałość i życiowe wyzwanie, a wolność to przedsiębiorczość, nie wygodnictwo. W “wolnej Polsce” nie chodzi o bezmyślną konsumpcję! Tak przypuszczalnie klony Leszka Balcerowicza odchorują “1983”.

Konkurencyjna płaszczyzna interpretacyjna wiąże się z rozbiciem stereotypu “komuny”, a zarazem kapitalizmu. “System komunistyczny” w narracji Holland jest zaiste osobliwy, a sposób w jaki się jawi bardziej przywodzi na myśl model Państwa Środka, gdzie “socjalizm z chińską specyfiką” jest eufemizmem skrywającym powrót do społeczeństwa klasowego. Z serialu nie dowiadujemy się jednak dosłownie niczego o stosunkach produkcji panujących w “super-komunie”, ani o dominującej formie własności. Jakkolwiek dziwne może się to wydawać, jedyne przejawy aktywności gospodarczej w nowej Polsce A.D. 2003 zdaje się wykazywać wyłącznie mniejszość wietnamska żyjąca głównie z biznesów gastronomicznych, a nad

całością tej barwnej społeczności czuwa tajemniczy "Wujek", król azjatyckiego półświatka z mocnymi politycznymi "plecami", parający się nielegalnym handlem bronią. Ta gospodarcza "luka" systemowa to nie tylko przyczynek do brania w cudzysłów serialowej "komuny", lecz i symptom coraz powszechniejszej tendencji do wycinania problematyki gospodarczej z refleksji nad PRL. Może być to spowodowane świadomością narastającego rozczarowania samym kapitalizmem, a więc i unikaniem obciążających porównań.

Znamienne, że obrazy rażącej biedy docierają do widza "1983" wyłącznie raz, kiedy inspektor MO (Więckiewicz) odwiedza matkę w mieście-widmie żyjącym w cieniu zamkniętej kopalni. W porządku symbolicznym wywodzącym się z lat 90. kopalnie to oczywiście symbol "komuny", z którymi bezwzględnie rozprawić się musi kapitalizm, by ustanowić "nowy wspaniały świat". Tutaj odwrotnie: kopalnie upadły, a "komuna" rozkwitła, kpiąc sobie z mitu wolności: dała ludziom Traskę, elektroniczny gadżet, tworzący pozory osobistej swobody, faktycznie zaś pętający Polaków więzami nowych form kontroli społecznej. Krytyka cyber-alienacji jest oczywiście odreagowaniem realnego kapitalizmu, nie realnego socjalizmu i to jest być może najwłaściwszy politycznie sposób odczytania "1983". Najnowsze dziecko Holland jest pomnikiem rozczarowania "wolną Polską", chociaż wyraża się ono w formach symbolicznych, na których ideologię "wolnej Polski" zbudowano. To akurat zabieg zupełnie zrozumiały w przypadku dzieła popkultury – sięga się w nim po wzorce, które już skolonizowały świadomość społeczną, żeby je poddać rekombinacji.

Jedno jest pewne: serialowa "komuna" odniosła pełne zwycięstwo nad ruchem i mitem Solidarności. Oprócz tego bowiem, że żyje się znośnie, do obalania systemu nie rzuca się prawie nikt oprócz garstki pomyślników. Mało tego: Kościół Katolicki sprzymierzył się z "komuną". To wizja zdecydowanie zdolna przyprawić dzisiejszych funkcjonariuszy IPN o zawał. Jedynym wątkiem niosącym im ukojenie wydaje się pucz wojskowy

szykowany przez naczelnego wodza, którego wyłącznym motywem, oprócz chorobliwej megalomanii, wydaje się nacjonalizm ułańsko-husarski spod znaku "kiedyś to było!".

Warto chyba uznać, że prawdą kapitalizmu są bardziej formy, pod którymi jawi się w powszechny doświadczeniu społecznym, niż na siłę dopisywana do niego ideologia wolności nieustannie sącząca się z mediów. Po prawie trzydziestu latach ludzie doskonale nauczyli się łączyć pozory dobrobytu i makietowy charakter "sukcesu gospodarczego" z opresją i wszechobecną kontrolą charakterystyczną dla ściśle hierarchicznej natury społeczeństwa klasowego. A millenialsi, nieustannie posądzeni o "roszczeniowość" i pouczeni przez celebrytów w rodzaju Holland, mają już szczerze dość hipokrytycznego musztrowania wolnością. Oni, oglądając "1983", represyjność przedstawionej tam rzeczywistości (jak najbardziej klasowej!) odczuwają prawdopodobnie jako krytykę społeczeństwa, w którym sami – zarówno panujących stosunków społecznych, jak i nadbudowy politycznej, ponieważ w odczuciu ludzi stanowią one organiczną całość. Tak jak nie ma istotnego powodu do rozdzielania wolnego rynku od dyktatu narodowo-katolickiej dyscypliny państwowej – stanowią jedną strukturę.

Estetyka, w którą przyobleczeni są protagoniści, miło łechce „millanialsów”. Lecz starciu z nimi, jakie Holland zaliczyła na Facebooku, doskonale widać, że to nie wystarcza, a treści, które w ten sposób chce utrwać odbierane są w sposób nie całkiem zgodny z zamierzonym. Nic w tym zaskakującego, tym bardziej, że już mało kto dysponuje dziś doświadczeniem PRL nie przepuszczonym przez magiel kliszowej pop-ideologii. Reżyserka zatem niezupełnie kontroluje wieloznaczności, jakimi operuje. Pokazuje, jak poczciwi i uczciwi ludzie mimowolnie wpisują się w funkcjonowanie autorytarnego reżimu. A jak często jednak zostanie to odebrane, że reżim jest "spoko", skoro tworzą go "spoko ludzie"? I o jaki w końcu reżim chodzi? Sposoby odczytania "1983" będą się różnić w zależności od kierunków, w którym zmierzać będzie dzisiejsza rzeczywistość

polityczna, a przede wszystkim – od tego, na ile kruszeć będzie gmach kapitalistycznej ideologii, która – zwłaszcza w sytuacji eksplozji buntu “kamizelek” we Francji – już dziś wydaje się ruiną.

Holland sama żywi obawę, że „być może wolność jest przereklamowana„. Mimo wszystko się za nią opowiada – ma prawo. Proponuje wielkie oczyszczenie wolności z „wypaczeń” konsumpcjonizmu, upchanie ich do worka z napisem „komuna” lub „autorytaryzm” i rytualne spalenie go. Odwracanie kota ogonem! Dzisiaj już raczej niewielu to kupi. „1983” to układanka, którą nie ma jednego najlepszego rozwiązania, tak jak niedomknięty i pełen sprzeczności pozostaje aparat pojęciowy, którymi od trzech dekad Polacy próbują opisywać swoją rzeczywistość. Ciekawe jednak, czy w sytuacji dalszej degrengolady światowego kapitalizmu, serial Holland będzie też w stanie skusić część odbiorców do tworzenia nowych znaczeń słowa socjalizm? A może do poszukiwania ukrytych potencjałów starych – i tych nadal nieodkrytych! – sposobów produkcji alternatywnych dla kapitalistycznego autorytaryzmu opartego na burżuazyjnej obsesji kontroli mas ludowych? Proletariusze wszystkich krajów łączą się w oczekiwaniu na nieprzewidziane skutki twórczości Agnieszki Holland et consortes.

Autorstwo: Paweł Jaworski

Źródło: Strajk.eu